



Gustave Aimard

PIRACI

Trzeci tom cyklu „Traperzy z Arkansasu”



58

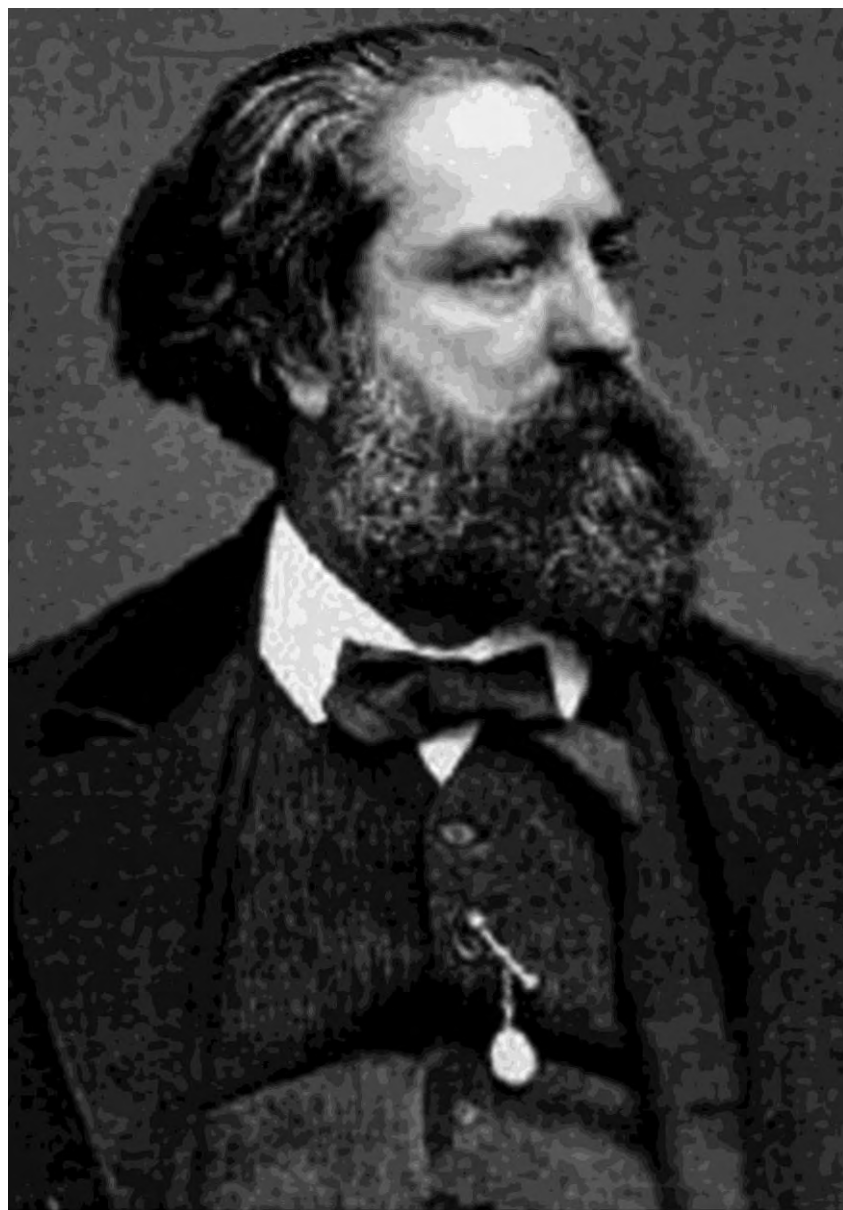
ISBN 978-83-67876-67-4 (całość)

ISBN 978-83-67876-70-4 tom 3)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Gustave Aimard

PIRACI



Gustave Aimard (właśc. Olivier Gloux) urodził się 13 września 1818 roku w Paryżu, zmarł 20 czerwca 1883 roku w paryskim przytułku św. Anny, do którego trafił pod koniec życia jako biedny, schorowany człowiek, uznany przez otoczenie za szaleńca.

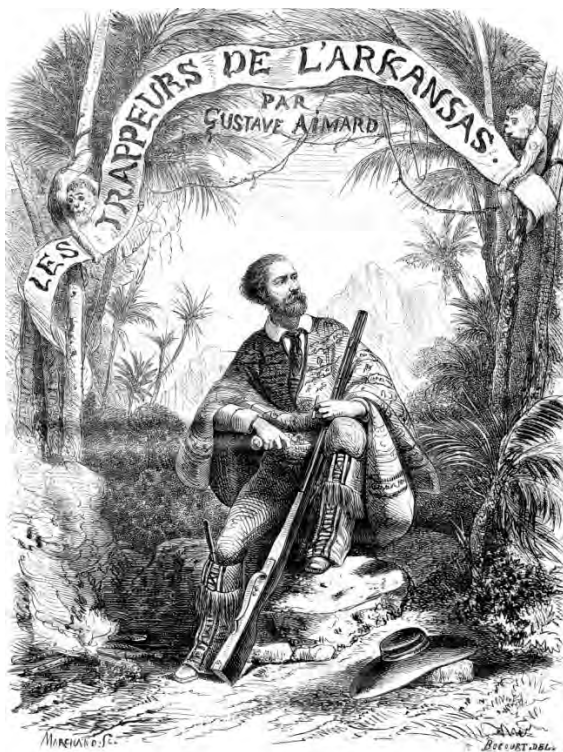
Był autorem powieści przygodowych, jednym z najpłodniejszych i najpopularniejszych francuskich pisarzy XIX wieku.

Biologiczni rodzice porzucili go, został adoptowany przez rodzinę Gloux. Oficjalnie nazywał się Olivier Gloux, ale sam używał imienia Gustave. W wieku dziewięciu lat uciekł z domu i zaciągnął się na statek jako chłopiec okrętowy. Młodzieńcze lata spędził w Ameryce Południowej, m.in. w Patagonii, później trafił do Ameryki Północnej, gdzie wiódł życie pełne przygód i parął się różnymi profesjami, był myśliwym, traperem, poszukiwaczem złota. W 1835 roku zaciągnął się do wojska, ale po kilku latach zdezerterował. Podróżował po Europie, Turcji, Kaukazie i obu Amerykach.

Po powrocie do Francji poświęcił się pisaniu powieści przygodowych. Szczególnie upodobał sobie opowieści o amerykańskim Zachodzie, które opierał na swym bogatym doświadczeniu i licznych wspomnieniach. W ciągu dwudziestu pięciu lat spod jego pióra wyszło około sześćdziesięciu powieści. Do najbardziej znanych należą *Traperzy z Arkansasu* (1858) i *Bandyci z Arizony* (1882) oraz duży cykl *Władcy Oceanu*. Początkowo jego powieści publikowano w czasopiśmie takich jak „Le Moniteur”, „La Presse”, „Le Voleur” i „La Liberté”. Jego książki doczekały się we Francji licznych wznowień i adaptacji, także teatralnych.

Powieści Gustave’a Aimarda opisują losy mieszkańców Ameryki Północnej na tle kolonialnych ambicji wielkich europejskich mocarstw i postępującego procesu znikania populacji Indian. Autor chętnie sięga po postaci gońców leśnych, traperów i myśliwych, ludzi pogranicza stanowiących łącznik między europejską cywilizacją a światem Indian. Główni bohaterzy jego powieści to ludzie o europejskich korzeniach, niezależni i odważni, wyznający zachodnie wartości moralne, ale prowadzący indiański styl życia.

Gustave Aimard



PIRACI

Trzeci tom cyklu „Traperzy z Arkansasu”

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Sto pięćdziesiąta ósma publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Pięćdziesiąty ósmy tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
Les Francs tireurs

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak,
2025

29 ilustracji cz.-b., 7 kart tablicowych kolorowych: A. Darjoy
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)
podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Maria Sarnowska
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2025

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-67-4 (całość)
ISBN 978-83-67876-70-4 (tom trzeci)

Rozdział I

Fray Antonio

szyscy gońcy leśni zauważyli, w odniesieniu do ogromnych dziewiczych lasów, wciąż pokrywających znaczny obszar Nowego Świata, że dla każdego, kto próbuje przeniknąć do jednego z tych tajemniczych schronień, jeszcze nie zdeformowanych ręką człowieka i zachowujących nienaruszone wzniosłe piętno odcisnięte na nich przez Boga, pierwsze kroki oferują trudności prawie nie do pokonania, wkrótce stające się coraz łagodniejsze, a po pewnym czasie znikające prawie całkowicie, tak jakby natura chciała bronić pasem jeżyn i cierni tajemniczego cienia tych odwiecznych lasów, w których dokonują się jej najskrytsze sprawy.

Raz po raz podczas naszych wędrówek po Ameryce byliśmy w stanie docenić dokładność obserwacji, jakich dokonujemy w tej chwili. Ten niezwykły układ lasów, otoczony niejako wałem pasożytniczych roślin zaplątanych jedna w drugą i wypychających we wszystkich kierunkach swoje pędy z niesamowitą siłą soków, wydawał nam się problemem, którego rozwiązanie powinno stanowić pewne zainteresowanie z różnych punktów widzenia, a przede wszystkim z punktu widzenia nauki.

Jest dla nas jasne, że cyrkulacja powietrza sprzyja rozwojowi roślinności. Powietrze swobodnie krążące wokół dużej powierzchni ziemi pokrytej wysokimi drzewami, popychane przez różne wietrzyki wstrząsające atmosferę, przenika do pewnej głębokości w masywy drzew i je otacza, i w konsekwencji karmi całe pasożytnicze podszycie, reprezentowane przez roślinność. Ale gdy osiągnie pewną głębokość pod baldachimem drzew, powietrze, wtedy rzadziej odnawiane, nie dostarcza już kwasu węglowego¹ do całej roślinności pokrywającej zie-

¹ *Kwas węglowy* – używana w XIX wieku nazwa dwutlenku węgla.

mię, która następnie, pozbawiona tego pożywienia, więdnie i ostatecznie umiera.

Jest to tak prawdziwe, że nierówności w terenie pozwalające na bardziej aktywną cyrkulację powietrza w niektórych miejscach, takich jak łożysko potoku lub wąwóz między dwoma wzniesieniami, których wejścia są otwarte na dominujące wiatry, sprzyjają rozwojowi bardziej aktywnej roślinności niż na płaskich obszarach.

Jest więcej niż prawdopodobne, że *fray* Antonio nie czynił żadnej z tych refleksji, od których zaczęliśmy ten rozdział, gdy dyskretnie i cicho prześlizgiwał się między drzewami, pozostawiając człowieka, który mu pomógł i prawdopodobnie uratował mu życie, aby walczył najlepiej jak potrafił z rojem czerwonoskórych, którzy go atakowali i przed którymi bez wątpienia trudno byłoby się mu bronić.

Fray Antonio nie był tchórzem, wręcz przeciwnie: w kilku krytycznych sytuacjach wykazał się prawdziwą odwagą, ale był człowiekiem, dla którego prowadzona przez niego egzystencja oferowała ogromne korzyści i nieobliczalne radości. Życie wydawało mu się dobre i robił wszystko, co mógł, aby spędzić je szczęśliwie i bez zmartwień. Tak więc z szacunku dla samego siebie był niezwykle ostrożny, stawiając czoła niebezpieczeństwu tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, ale potem, jak wszyscy egoiści doprowadzeni do granic możliwości, stawał się straszny i naprawdę przerażający dla tych, którzy w taki czy inny sposób sprowokowali w nim ten wybuch gniewu.

W Meksyku, i ogólnie w całej hiszpańskiej Ameryce, duchowieństwo, rekrutujące się wyłącznie z najbiedniejszej części populacji, składa się z ludzi o rażącej ignorancji i, w większości, wątpliwej moralności. Religijne zakony stanowiące prawie jedną trzecią populacji, żyją prawie niezależnie od jakiegokolwiek podległości lub kontroli i przyjmują na swoje łono ludzi wszelkiego rodzaju, i dla nich habit zakonny, jaki noszą, jest płaszczem, pod którym swobodnie oddają się swoim wadom, a z tych najsłodszyimi są niewątpliwie lenistwo, lubieżność i pijaństwo.

Mnisi, ciesząc się dużym uznaniem i szacunkiem wśród cywilizowanej ludności indiańskiej, bezwstydnie nadużywają otaczającej

ich aury świętości, by pod byle jakim pretekstem okradać tych biednych ludzi.

Co więcej, wyuzdanie i demoralizacja osiągnęły taki stopień w tych nieszczęsnych regionach, starych i zgrzybiałych bez bycia młodymi, że zachowanie mnichów, jakkolwiek szokujące może wydawać się Europejczykowi, jest niczym więcej niż bardzo zwyczajnym dla ludzi, którzy pośród nich żyją i w żaden sposób nie zwraca na siebie uwagi.

Daleko nam do sugerowania, że wśród meksykańskiego duchowieństwa, a nawet wśród tak bardzo oczernianych mnichów, nie ma ludzi godnych noszonego przez nich habitu i przekonanych o świętości ich misji. Naprawdę znaleźmy dużo mających taki charakter. Niestety, stanowią oni tak niewielką mniejszość, że muszą być traktowani jako wyjątek.

Fray Antonio bez wątpienia nie był ani lepszy, ani gorszy od innych mnichów noszących ten sam habit, ale niestety dla niego, przez pewien czas los zdawał się go lubić i angażować, pomimo jego silnej woli, w wydarzenia będące nie tylko poza charakterem, ale także poza zwyczajami, i wciągać go w szereg utrapień – a każde było bardziej nieprzyjemne niż poprzednie – zaczynające sprawiać, że życie, które do tej pory uważał za tak przyjemne, wydawało się bardzo gorzkie.

Potworna mistyfikacja, której ofiarą padł biedny mnich, sprawiła przede wszystkim, że jego pogodny dotąd duch nabrał ciemniejszego odcienia smutku. Ogarnęło go ponure przygnębienie i dlatego ciężkim i niepewnym krokiem uciekał przez las, chociaż podekscytowany odgłosami bitwy wciąż docierającymi do jego uszu, starał się jak najszybciej oddalić, obawiając się, że jeśli czerwonoskórzy odniosą zwycięstwo, wpadnie w ich ręce.

Noc zaskoczyła biednego *fray Antonia*, kiedy nie dotarł jeszcze do skraju lasu wydającego się nie mieć końca. Niezbyt pracowity z natury i zupełnie nieprzyzwyczajony do życia na pustkowiu, mnich poczuł się bardzo zakłopotany, gdy zobaczył, jak słońce znika za horyzontem w falach purpury i złota, a ciemność niemal natychmiast okrywa ziemię. Bez broni, bez możliwości rozpalenia ognia i na wpół martwy z głodu i niepokoju, mnich rzucał wokół siebie długie spojrzenia

rozpaczy i upadł na ziemię ze stłumionym jękiem. Dosłownie nie wiedział, do którego świętego się zwrócić.

Jednak po kilku chwilach instynkt samozachowawczy wziął górę nad jego przygnębieniem, a mnich, któremu zęby szczękały z przeżenienia, usłyszał żalobny ryk zaczynających się budzić dzikich bestii w głębi lasu i na swój sposób witających upragniony powrót mroku, podniósł się z gorączkową energią i w uścisku tego nerwowego pobudzenia pochodzącego z popchniętego do pewnego stopnia strachu, postanowił wykorzystać ulotne przebliski światła przebijające się przez baldachim listowia, aby zapewnić sobie schronienie na noc.

Naprzeciwko niego wznosił się majestatyczny dąb mahoniowy, którego splecione gałęzie i gęste listowie zdawały się zapewniać mu bezpieczną kryjówkę przed prawdopodobnymi atakami strasznych mieszkańców lasu.

Z pewnością w innych okolicznościach niż obecnie się znalazł, sama myśl o wspinaczce na to ogromne drzewo wydawałaby się mnichowi szczytem szaleństwa i umysłowej aberracji, po pierwsze z powodu swego potężnego brzucha, a następnie z powodu jego niezdarności, o czym był głęboko przekonany.

Ale moment był krytyczny, sytuacja z minuty na minutę stawała się coraz bardziej niebezpieczna, ryki zbliżały się w niepokojący sposób, więc nie było miejsca na wahanie i *fray* Antonio nie zawahał się. Po okrążeniu dwa lub trzy razy drzewa w poszukiwaniu miejsca, z którego najłatwiej byłoby mu się wspiąć, westchnął, objął ramionami i kolanami ogromny, chropowaty pień i z wielkim bólem rozpoczął wspinaczkę.

Wdrapanie się na ten dąb nie było jednak łatwym zadaniem, zwłaszcza dla mnicha. *Fray* Antonio szybko przekonał się o tym na własnej skórze, bo za każdym razem, gdy po niewiarygodnych wysiłkach udawało mu się podnieść kilka cali od podłoża, jego siły nagle go zawodziły, spadał i tarzał się po ziemi, z rozdartym ubraniem i zakrwawionymi rękami.

Być może już dziesięć razy ponawiał swoje wysiłki, z wytrwałością, jaką daje utrata nadziei, nie widząc, by zakończyły się one sukce-

sem. Pot spływał mu po twarzy, jego pierś ciężko dyszała; był w stanie, który wzbudziłby litość nawet u jego najbardziej zacieklego wroga.

– Nigdy nie zdołam się tam dostać – mruknął smutno – a jeśli tu zostanę, będę zgubionym człowiekiem, bo w ciągu godziny niezawodnie zostanę pożarty przez jaguara szukającego kolacji.

Ta ostatnia myśl, będąca niezaprzeczalnie prawdziwa, dodała mnichowi nowego zapału i postanowił podjąć kolejną, ostateczną próbę, ale tym razem chciał zachować wszelkie środki ostrożności. W związku z tym zaczął zbierać suche drewno rozrzucone wokół niego i układać je u podnóża drzewa, tak aby utworzyć wystarczająco wysoki stopień umożliwiający mu dotarcie bez większych trudności do dość niskiej gałęzi, na której, przynajmniej uważając, aby nie zasnąć, mógł mieć nadzieję spędzenia nocy całkiem spokojnie i bez obawy, że zostanie pożarty, co byłoby bardzo smutnym zakończeniem wszystkich jego udręk, do czego godny mnich nie czuł najmniejszego powołania.

Wkrótce, dzięki szybkości, z jaką działał, *fray* Antonio zobaczył sporą stertę drewna ułożoną u podnóża drzewa. Uśmiech satysfakcji rozjaśnił jego szeroką twarz i odetchnął, ocierając pot zalewający mu twarz.

– Tym razem – mruknął, obliczając na pierwszy rzut oka prześtrzeń, którą miał do pokonania – jeśli mi się nie uda, będę bardzo niezdarny.

Jednak ostatnie wieczorne blaski, tak przydatne mnichowi, całkowicie zniknęły. Brak blasku jeszcze niewidocznych gwiazd powodował głęboką ciemność na niebie, a jeszcze głębszą pod baldachimem drzew. Wszystko zaczynało zanikać, pozwalając tylko odróżniać tu i tam kilka kęp drzew rysujących swoje ciemniejsze masy w mroku, lub kilka kałuż wody powstałych po ostatniej burzy, usiewających las jaśniejszymi plamami. Wieczorna bryza wzmogła się i słychać było szeleszczenie liści z melancholijnym, żalobnym narzekaniem.

Przerażający mieszkańcy pustkowi opuścili swoje tajemnicze legowiska, powodując trzaskanie suchych gałęzi, gdy spieszyły naprzód wśród ogłuszającego chóru kocich ryków. Mnich nie miał chwili do stracenia jeśli nie chciał zostać zaatakowany ze wszystkich stron

naraz przez dzikie bestie, jeszcze groźniejsze z powodu ich długiego postu.

Rzuciwszy wokół siebie badawcze spojrzenie, aby upewnić się, że nie zagraża mu żadne palące niebezpieczeństwo, mnich pobożnie uczynił znak krzyża, polecił się Bogu z większą żarliwością niż kiedykolwiek wcześniej i, nagle podejmując decyzję, zdecydowanie zaczął wspinać się na stos drewna zgromadzony u podnóża drzewa, aby służył mu jako podnózek.

Po kilku nieudanych próbach w końcu udało mu się wspiąć na szczyt tej atrapy kopca.

Następnie zatrzymał się na chwilę, by złapać oddech. W rzeczywistości, dzięki jego genialnemu pomysłowi, *fray* Antonio był już prawie dziesięć stóp nad ziemią. To prawda, że każde zwierzę mogło z łatwością przewrócić tę przeszkodę, ale mimo to początek sukcesu na nowo rozpałił odwagę mnicha, tym bardziej, że gdy spojrzał w górę i zobaczył, w niewielkiej odległości nad sobą, błogosławioną gałąź, w kierunku której tak długo bezskutecznie wyciągał ręce.

– Naprzód! – powiedział z nadzieją.

Ponownie objął drzewo i rozpoczął mozolną wspinaczkę. Czy to dzięki przypadkowi, czy też zręczności, ojciec Antonio zdołał w końcu chwycić gałąź obiema rękoma i ucześcić się jej z całej siły. Trzeba było działać dalej. Z najwyższym wysiłkiem mnich zebrał wszystkie siły, które pozostały mu z poprzednich prób i, podnosząc się siłą nadgarstków, próbował wspiąć się na gałąź. Dzięki energicznemu uporowi jego głowa i ramiona sięgały już poza gałąź, gdy nagle poczuł dłoń lub pazur zaciskający się na jego prawej nodze i ściskający ją jakby w imadle. Przez ciało mnicha przebiegł dreszcz przerażenia, krew ścięła mu w żyłach, zimny pot w formie sznura perełek spłynął po skroniach, a zęby tak szczękały jakby miały się połamać.

– Litości! – zawołał zduszonym głosem. – Jestem martwy. Jezu, Mario, zmiłuj się nade mną!

Jego siły, sparaliżowane przerażeniem, opuściły go; ręce puściły zbawczą gałąź, a on sam spadł jak bryła na ziemię obok drzewa. Na szczęście dla *fray* Antonia, ostrożność, z jaką ułożył stos drewna, za-



Tymczasem Indianie nadal palili w milczeniu i zdawali się nie zauważać, że ich jeniec otrząsnął się z omdlenia.

mortyzowała po większej części jego upadek, bowiem w przeciwnym razie prawdopodobnie zakończyłoby się to śmiercią. Jednak szok, jakiego doznał, był tak silny, że stracił przytomność. Omdlenie mnicha trwało długo. Kiedy odzyskał zmysły i ponownie otworzył oczy, rozejrzał się z przerażeniem i pomyślał, że znalazł się w objęciach okropnego koszmara.

Nie ruszył się z miejsca, że tak powiem. Wciąż znajdował się przy drzewie, na które tak długo bezskutecznie próbował się wspiąć, ale leżał obok ogromnego ogniska z piekącą się na nim połówką jelenia, a wokół niego, przykucnięci na piętach, znajdowali się czerwonoskórzy, w milczeniu paląc kalumety, podczas gdy ich konie, uwiązane do palików kilka kroków dalej i gotowe do dosiadanania, radośnie przeżuwały swój pokarm.

Fray Antonio już przy kilku okazjach widział Indian. Był nawet z nimi w na tyle bliskim kontakcie, że wiedział co nieco o ich zwyczajach. Byli ubrani we wspaniałe stroje wojenne i łatwo było ich rozpoznać po długich, karbowanych włóczniach i zebranych w czub włosach jako Apaczów.

Mnich zadrżał w duchu, bowiem Apacze słyną z okrucieństwa i przebiegłości. Biedny Antonio wpadł z deszczu pod rynną – uniknął pożarcia przez dzikie bestie tylko po to, by prawdopodobnie zostać zamęczonym przez czerwonoskórych. Była to smutna perspektywa dostarczająca nieszczęsnemu mnichowi wielu powodów do rozmyślań bardziej ponurych jedno od drugiego, gdyż wiele razy drżał słysząc opowieści myśliwych o potwornych torturach, jakie Apacze z nieprzykładnym okrucieństwem lubili zadawać swoim jeńcom.

Tymczasem Indianie nadal palili w milczeniu i zdawali się nie zauważać, że ich jeniec otrząsnął się z omdlenia. Ze swojej strony mnich mocno zamknął oczy i starał się pozostać w całkowitym bezruchu, aby jak najdłużej pozostawiać jego straszliwych nieprzyjaciół w niewiedzy o stanie w jakim się znajdował.

W końcu Indianie przestali palić, a po strząśnięciu popiołu z kalumetów, włożyli je z powrotem zza pas. Jeden z czerwonoskórych zdjął z ognia pół jelenia upieczonego w sam raz, położył go na liściach

abanijo przed swoimi towarzyszami, a każdy z nich, uzbrojony w nóż do skalpowania, przygotował się do energicznego ataku na dziczyznę wydzielającą bardzo apetyczny zapach, szczególnie dla nozdrzy człowieka będącego przez cały dzień, który właśnie minął, skazanym na absolutny post.

W tym momencie mnich poczuł ciężką dłoń spoczywającą na jego piersi, a jakiś głos powiedział do niego gardłowym akcentem, w żaden sposób nie będącym groźnym:

– Ojciec modlitwy może już otworzyć oczy, dziczyzna się dymi, a jego część została odcięta.

Mnich, rozpoznając, że jego podstęp został zdemaskowany i obudzony przez pikantny aromat dziczyzny, podjął decyzję, otworzył oczy i podniósł się na nogi.

– Ugh! – powiedział człowiek, który już mówił do niego. – Mój ojciec je, on spał i musi być głodny.

Mnich próbował się uśmiechnąć, ale wszystko, co mu się udało, to brzydki grymas, bowiem taki strach trzymał go za gardło. Ponieważ jednak był naprawdę głodny jak wilk, poszedł za przykładem Indian już kontynuujących posiłek, i zaczął jeść leżący przed nim kawałek dziczyzny. Posiłek nie był długi, ale wystarczył, by dodać mnichowi trochę odwagi i sprawić, że zobaczył swoje położenie w mniej ponurym świetle, niż widział je na początku.

Zresztą zachowanie Apaczów względem niego nie miało w sobie nic wrogiego. Wręcz przeciwnie, zważali na to by podawać mu to, czego potrzebował, dając mu więcej do jedzenia, gdy tylko zdali sobie sprawę, że nie miał już nic przed sobą. Posunęli się w swej uprzejmości nawet tak daleko, że poczęstowali go kilkoma łykami wódki, niezwykle cennego trunku, którego są najbardziej chciwi, nawet na własny użytek, z powodu trudności, jakie mają z jego zdobyciem.

Kiedy skończył się posiłek, mnich, prawie całkowicie uspokojony co do przyjaznego usposobienia swoich gospodarzy, i widząc, jak wyciągają swoje długie kalumety i zaczynają palić, wyjął z kieszeni trochę tytoniu i liść kukurydziany, a po skręceniu *pajillo*¹ z umiejętnością

¹ *Pajillo* (hiszp.) – rurka.

ścią posiadaną tylko przez ludzi rasy hiszpańskiej, sumiennie delektował się niebieskawym dymem swojego doskonałego hawańskiego tytoniu, *costa abajo*.

Minęło sporo czasu, a przy ognisku nie padło ani jedno słowo. Stopniowo szeregi czerwonoskórych przerzedzały się. Jeden po drugim, w krótkich odstępach czasu zawijali się w koce, wyciągali nogi przy ogniu i niemal natychmiast zasypiali. *Fray Antonio*, przytłoczony przejmującymi emocjami dnia i ogromnym zmęczeniem, jakiego doświadczył, naśladowałby Indian, gdyby się odważył, ponieważ czuł, że jego oczy zamykają się wbrew niemu i miał niesamowitą trudność w walce z ogarniającym go snem. W końcu Indianin, który do tej pory sam z nim rozmawiał, zdawał się zauważać jego senność i zlitował się nad nim. Wstał, wziął derkę z konia i przyniósł ją mnichowi.

– Niech mój ojciec owinie się w tę *fressadę* – powiedział, używając kiepskiego hiszpańskiego, jakim posługiwał się do tej pory – noce są zimne, mój ojciec jest bardzo senny – będzie mu cieplej. Jutro wódz będzie palił fajkę w radzie z moim ojcem. Niebieski Lis chce poważnie porozmawiać z wodzem modlitwy błądzących twarzy.

Fray Antonio z wdzięcznością przyjął derkę tak łaskawie ofiarowaną przez wodza i nie chcąc przedłużać rozmowy, starannie owinął się w nią i wyciągnął obok ogniska, aby wchłonąć jak najwięcej ciepła. Jednak słowa Indianina wzbudziły w mnichu pewien niepokój.

– Hm, oto druga strona medalu! – mruknął do siebie. – Co ten poganin może mi powiedzieć? Prawdopodobnie nie poprosi mnie o chrzest! Co więcej, nazywa się Niebieski Lis, co jest ładnym imieniem dla dzikusa! W każdym razie Bóg mnie nie opuści. Jutro zrobi się dzień, a teraz prześpijmy się.

Z tą pocieszającą myślą mnich zamknął oczy. Dwie minuty później spał, jakby nigdy nie musiał się obudzić.

Niebieski Lis, bo to właśnie w ręce tego wodza tak niespodziewanie wpadł mnich, przez całą noc pozostawał przykucnięty przed ogniskiem, pogrążony w poważnych rozmyślaniach i czuwał samotnie spośród wszystkich swoich towarzyszy nad wspólnym bezpieczeństwem. Czasami jego wzrok był utkwiony z dziwnym wyrazem

w śpiącym spokojnie mnichu, bez wątpienia nie podejrzewającym w tej chwili, że wojownik Apaczów tak uparcie go obserwuje.

O wschodzie słońca Niebieski Lis wciąż nie spał. Przez całą noc nie zmienił pozycji i ani na chwilę nie zmrużył powiek.



Rozdział II

Indiańska dyplomacja

Noc minęła spokojnie i cicho. Gdy słońce pojawiło się na horyzoncie, powitane ogłuszającym koncertem ptaków ukrytych pod listowiem, Niebieski Lis do tej pory pozostający nieruchomy, wyciągnął prawą rękę w kierunku leżącego obok mnicha i lekko dotknął go dłonią. Ten lekki dotyk wystarczył, by obudzić *fray* Antonia.

Istnieją w życiu chwile, w których, choć ciało jest w stanie spoczynku, umysł zachowuje całą swoją finezję percepcji i czujność. Mnich znajdował się w jednej z takich chwil. Pobłażliwość, jaką Apacze okazali mu poprzedniego wieczora, była tak niezwykła i poza zwyczajami traktowania białych, ich zaciekłych wrogów, że mnich, pomimo całej beztroski stanowiącej podstawę jego charakteru, zdał sobie sprawę, że dziwne zachowanie ludzi, w których ręce wpadł, musiało mieć bardzo potężne motywy i że pomimo pozorów przyjaźni, jakie mu ukazywali, dobrze zrobi, jeśli będzie miał się na baczności, aby być gotowym stawić czoła burzy, bez względu na to, z której strony nadejdzie.

Kierując się tym rozumowaniem, korzystając z dobrego usposobienia Indian, skrycie obserwował ich ruchy; tylko ostrożnie pozwolił sobie zasnąć i spał z jednym okiem otwartym, jak to się powszechnie mówi. Tak więc na pierwszy sygnał był gotowy odpowiedzieć na wezwanie indiańskiego wodza z werwą, która wywołała dwuznaczny uśmiech na surowych rysach Indianina. Czerwonoskórzy są z natury fizjonomistami. Pomimo spokojnej postawy mnicha, Niebieski Lis domyślił się z pewnych oznak, które nigdy go nie oszukały, że wewnątrz zżera go utajony niepokój.

– Czy mój ojciec dobrze spał? – zapytał Indianin chrapliwym głosem. – Wacondah kocha go, czuwa nad jego snem i trzyma Geniusza Zła Nyangę z dala od jego snów.

– Rzeczywiście spałem bardzo dobrze, wodzu, i dziękuję ci za serdeczną gościnę, którą raczyłeś mi zaoferować.

Uśmiech wykrzywił usta Indianina. Kontynuował:

– Mój ojciec jest jednym z wodzów modlitwy swojego ludu, bóg błądych twarzy jest potężny i chroni poświęcających się jego służbie.

To zdanie nie wymagało odpowiedzi, a mnich po prostu uklonił się na potwierdzenie. Jednak jego niepokój narastał. Pod łagodnymi słowami wodza zdawał się słyszeć stłumione miauczenie jaguara oblizującego się przed pożarciem ofiary trzymanej dyszącą w swoich potężnych pazurach.

Fray Antonio nie miał nawet możliwości udawania, że nie rozumie swojego potężnego rozmówcy, ponieważ, jak już zauważyliśmy, wódz mówił tym złym hiszpańskim rozumianym przez wszystkie plemiona indiańskie i używanym, pomimo niechęci do jego stosowania, w kontaktach z białymi.

Poranek był wspaniały. Drzewa o liściach pokrytych rosą, wydawały się bardziej zielone; lekka mgiełka nasyciona słodkimi zapachami poranka unosiła się z ziemi i była wysysana przez promienie słoneczne z każdą chwilą stające się cieplejsze.

Cały obóz był jeszcze pogrążony we śnie i tylko wódz i mnich już rozmawiali.

Po chwili milczenia Niebieski Lis odezwał się ponownie:

– Niech mój ojciec posłucha – powiedział – bo wódz zaraz przemówi. Niebieski Lis jest sachemem, jego język nie jest rozwidlony, słowa wychodzące z jego piersi są inspirowane przez Wielkiego Ducha.

– Słucham – odpowiedział *fray Antonio*,

– Niebieski Lis nie jest Apaczem, choć nosi ten strój i przewodzi jednemu z ich najpotężniejszych plemion na ścieżce wojennej. Niebieski Lis jest Paunisem-Wężem, jego naród jest tak liczny jak ziarenka piasku na brzegach bezbrzeżnego jeziora. Minęło wiele księżyców odkąd Niebieski Lis opuścił tereny łowieckie swojego narodu, nie wracając, by stać się adoptowanym synem Apaczów. Dlaczego Niebieski Lis to zrobił?

Wódz umilkł. Mnich już miał odpowiedzieć, że nie wie i że nie chce się tego dowiedzieć, ale chwila zastanowienia uświadomiła mu,



– Niech mój ojciec posłucha – powiedział – bo wódz zaraz przemówi.
Niebieski Lis jest sachemem, jego język nie jest rozwidłony.

że taka odpowiedź nie jest odpowiednia dla człowieka tak rozdrażnionego jak ten, z którym rozmawiał.

– Bracia wodza okazali mu niewdzięczność – odpowiedział z obłudnym zainteresowaniem – a sachem opuścił ich, po strzepnięciu pyłu z mokasynów przy wejściu do ich wioski.

Wódz potrząsnął przecząco głową.

– Nie – odpowiedział – bracia Niebieskiego Lisa kochali go, wciąż oplakują jego nieobecność, ale wódz był smutny, bo przyjaciel porzucił go i zabrał ze sobą jego serce.

– Ach! – rzekł mnich, zupełnie nic nie rozumiejąc.

– Tak – kontynuował Indianin – Niebieski Lis nie mógł znieść nieobecności przyjaciela, więc porzucił swoich braci, by podążyć za nim.

– To piękne poświęcenie, wodzu. Bez wątplenia swojego przyjaciela.

– Lis szukał go przez długi czas bez żadnych wieści o nim, ale w końcu pewnego dnia znów go zobaczył.

– Dobrze i teraz znowu jesteście razem?

– Mój ojciec nie rozumie – odparł sucho Indianin.

Fakt był jak najbardziej prawdziwy, mnich nie rozumiał absolutnie nic z tego, co Indianin chciał mu przekazać, tym bardziej, że ta mętna opowieść bardzo mało go interesowała, a podczas gdy Apacz mówił, zajęty był szukaniem w myślach powodów tego poufnego zwierzenia, co sprawiało, że większość słów wymawianych przez wodza dochodziło do jego ucha, nie wydając jednak niczego poza pustym dźwiękiem, którego znaczenie nie docierało do jego umysłu. Jednak stanowczy ton, z jakim Niebieski Lis skierował swoje ostatnie pytanie, obudził go, że tak powiem brutalnie, i przypominając mu o poczuciu jego obecnej sytuacji, uświadomił mu ponowne pojawienie się niebezpieczeństwa dlatego, że nie interesuje się tym, co się do niego mówi.

– Wybacz mi, wodzu – odparł żywo – wręcz przeciwnie, doskonale cię rozumiem, ale podlegam pewnym roztargnieniom całkowicie będącymi poza moją kontrolą, i błagam, abyś nie brał tego do siebie, ponieważ mogę cię zapewnić, że w żaden sposób nie jest to moja wina.

– Cóż, mój ojciec jest jak wszyscy wodzowie modlitwy bladych twarzy – jego myśli są stale zwrócone ku Wacondahowi.

– Tak jest, wodzu! – wykrzyknął mnich, zadowolony ze sposobu, w jaki jego wymówka została przyjęta. – Proszę, kontynuuj swoją opowieść; teraz mogę spokojnie wszystkiego wysłuchać.

– Ugh! Mój ojciec nieustannie przebiega prerie bladych twarzy.

– Rzeczywiście, obowiązki mojej służby zobowiązują mnie do...

Niebieski Lis przerwał mu ostro:

– Mój ojciec zna bladych łowców z tych prerii.

– Prawie wszystkich.

– Bardzo dobrze. Jednym z tych łowców jest przyjaciel, za którym Niebieski Lis tak bardzo tęsknił.

– Och! Och! – powiedział mnich. – Kto to?

Indianin zdawał się nie słyszeć pytania i kontynuował:

– Bardzo często czerwonoskóry wojownik znajdował się w nie-wielkiej odległości od swojego przyjaciela, ale nigdy nie był na tyle blisko, by dać się rozpoznać.

– To nieszczęśliwa gra.

– Wódz chciałby zobaczyć swego przyjaciela, wypalić z nim kulumet przyjaźni, siedząc przy ognisku rady, rozmawiając o dawnych dniach i czasach, gdy obaj, będąc dziećmi tego samego plemienia, przemierzali szlaki łowieckich terytoriów narodu, którego obawiał się sachem.

– Więc ten myśliwy jest Indianinem?

– Nie, jest bladą twarzą, ale choć jego skóra jest biała, Wielki Duch umieścił w jego piersi serce Indianina.

– Ale jeśli wódz wie, gdzie jest jego przyjaciel, dlaczego po prostu go nie odnajdzie? Prawdopodobnie byłby szczęśliwy, widząc go ponownie.

Na tę insynuację, której się nie spodziewał, wódz zmarszczył brwi, a jego twarz na kilka chwil przesłoniła chmura, ale mnich był zbyt mało spostrzegawczy, by zauważyć tę emocję. Zadał to pytanie tak, jak zadałby każde inne, bez żadnego ukrytego zamiaru, po prostu po to, by odpowiedzieć i w ten sposób udowodnić wodzowi, że uważnie go słucha.

Po kilku sekundach czerwonoskóry odzyskał obojętność, której Indianie bardzo rzadko się pozbywają, tylko gdy są całkowicie zaskoczeni, i mówił dalej:

– Niebieski Lis nie idzie na spotkanie z przyjacielem, bo on nie jest sam i otaczają go wrogowie wodza.

– To co innego; rozumiem, dlaczego powinien być ostrożny.

– Zgoda – ciągnął Indianin z sardonicznym uśmiechem – mądrość przemawia przez usta mojego ojca, jest on rzeczywiście wodzem modlitwy, jego usta destylują najczystszy miód.

Fray Antonio napuszył się, jego niepokój zaczynał się rozpraszać. Niejasno wyczuwał, że czerwonoskóry chce go o coś zapytać, że krótko mówiąc potrzebuje go. Ta myśl dodała mu odwagi; chciał dokończyć efekt, który, jak sądził, wywołał w umyśle swojego makiawelicznego rozmówcy.

– Tego, czego mój brat nie może zrobić, ja mogę się podjąć – powiedział sugestywnym głosem.

Apacz rzucił mu przeszywające spojrzenie.

– Ugh! – odpowiedział. – Czy mój ojciec wie, gdzie można spotkać przyjaciela wodza?

– Skąd mam to wiedzieć! – zawołał mnich. – Nie zdradziłeś mi jeszcze jego imienia.

– To prawda, mój ojciec jest dobry i mi wybaczy. Nie zna jeszcze białego myśliwego?

– Może go znam, ale na razie nie wiem, o kim mówi wódz.

– Niebieski Lis jest bogaty, ma wiele koni, może zgromadzić pod swoim totemem stu wojowników i dziesięć, dwadzieścia razy więcej, jeśli mój ojciec zechce służyć sachemowi, będzie on wdzięczny.

– Niczego bardziej nie pragnę, jak zadowolić cię, wodzu, jeśli jest to w mojej mocy, ale musisz mi jasno wytłumaczyć, co mam robić, abym nie popełnił pomyłki.

– Dobrze, sachem wyjaśni wszystko swojemu ojcu.

– W ten sposób nic nie będzie łatwiejsze.

– Czy mój ojciec tak myśli?

– Dalibóg, tak, nie widzę, co mogłoby pójść źle.

– Więc niech mój ojciec słucha uważnie.

– Mów, wodzu.

– Wśród wszystkich białych myśliwych, których mokasyny bezustannie stąpają po trawie prerii we wszystkich kierunkach, jest jeden odważniejszy, bardziej przerażający niż inni. Pумы i jaguary uciekają gdy on się zbliża, a sami indiańscy wojownicy boją się z nim mierzyć. Ten myśliwy nie jest zniewieściałym *Yori*¹, w jego żyłach nie płynie krew *Gachupines*. Jest synem zimniejszej krainy, a jego przodkowie przez długi czas walczyli przeciwko Długim Nożom ze Wschodu.

– Cóż – powiedział mnich – z tego, co mówi mój brat, rozpoznaję tego człowieka jako Kanadyjczyka.

– Myślę, że w ten sposób określa się naród, do którego należy biały myśliwy.

– Ale ze wszystkich znanych mi myśliwych tylko jeden jest Kanadyjczykiem.

– Ugh! – powiedział wódz. – Tylko jeden?

– Tak i jak sądzę nazywa się *Tranquille*. Jest związany z hacjendą *del Mezquite*.

– Ugh! To jest człowiek, o którym wódz chce rozmawiać. Czy mój ojciec go zna?

– Muszę przyznać, że niezbyt dobrze, ale na tyle, by mnie jemu przedstawić.

– Bardzo dobrze.

– Muszę cię jednak ostrzec, wodzu, że ten człowiek, podobnie jak wszyscy jemu podobni, prowadzi niezwykle wędrowny tryb życia, przebywając czasem w jednym miejscu, a czasem w innym, tak że nie wiem, gdzie go spotkać.

– Och, niech mój ojciec się tym nie martwi. *Sachem* zabierze go do obozu *Zabójcy Jaguarów*.

– Och, zatem dobrze! Ja zajmę się resztą.

– Niech mój ojciec zachowa w sercu słowa *Niebieskiego Lisa*. Wojownicy się budzą, nie mogą o niczym wiedzieć. Kiedy nadejdzie czas, wódz powie mojemu ojcu, czego od niego chce.

¹ *Yori* – pogardliwe określenie używane przez Indian w odniesieniu do Hiszpano-Amerykanów.

– Jak sobie życzysz, wodzu.

Na tym rozmowa się zakończyła. Wojownicy rzeczywiście się budzili, a obóz, tak cichy kilka chwil wcześniej, wyglądał teraz jak ul, gdy pszczoły przygotowują się o wschodzie słońca do wyruszenia w poszukiwaniu swoich codziennych zbiorów. Na znak wodza, *hachesto*, czyli publiczny obwoływacz, wspiał się na przewrócone drzewo i stamtąd, górując nad tłumem, wydał przenikliwy, dwukrotnie powtórzony okrzyk. Na to wezwanie wszyscy wojownicy, nawet ci, którzy do tej pory leżeli na ziemi, rzucili się, by ustawić się za wodzem. Przez kilka minut panowała głęboka cisza. Wszyscy Indianie, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i twarzami zwróconymi ku wschodzącemu słońcu, czekali ze skupieniem na to, co zrobi sachem.

Sachem wziął podaną mu przez *hachesto* tykwę pełną wody, zamoczył w niej pęk piołunu. Następnie, podnosząc głos, kropił wodą na cztery strony świata, mówiąc:

– Wacondah! Wacondah! Nieznany i Wszechmocny Duchu, którego świątynią jest wszechświat, Panie ludzkiego życia, chroń swoje dzieci!

– Panie ludzkiego życia, chroń swoje dzieci – odpowiedzieli chórem Apacze, kłaniając się z szacunkiem.

– Stwórco wielkiego *Chemiiin Antou*¹, którego skorupa podtrzymuje świat, trzymaj Nyangę, Geniusza Zła, z dala od nas, daj nam naszych wrogów i daj nam ich skalpy, Wacondah! Wacondah! Chroń swoje dzieci!

– Wacondah! Wacondah! Chroń swoje dzieci! – powtórzyli za nim wojownicy.

Następnie sachem pokłonił się słońcu i wylał zawartość tykwy w jego kierunku, mówiąc:

– A ty, wzniosła gwiazdo, widzialny przedstawicielu niezwyciężonego wszechmocnego stwórcy, nadal wylewaj swe ożywcze ciepło na tereny łowieckie swych czerwonych synów i wstawiaj się za nimi u Pana Życia. Niech ta ofiarowana przeze mnie przejrzysta woda będzie ci miła! Wacondah! Wacondah! Chroń swoje dzieci!

¹ *Chemiiin Antou* – Święty Żółw.

– Wacondah! Wacondah! Chron swoje dzieci! – powtarzali Apacze, klękając z szacunkiem za przykładem wodza.

Następnie wódz wziął *laskę medycyny* podaną mu przez *hachesto*, uniósł ją kilka razy nad głowę i głośno krzyknął:

– Nyango, Geniuszu Zła, zbuntowany duchu przeciwko Panu Życia, sprzeciwiamy się i gardzimy twoją mocą, bo Wacondah nas chroni!

Wszyscy obecni wydali głośny okrzyk i podnieśli się na nogi.

Po odmówieniu porannej modlitwy i odprawionych rytuałach, wszyscy zaczęli zajmować się swoimi codziennymi sprawami.

Fray Antonio asystował przy tej świętej i wzruszającej ceremonii z ogromnym zdumieniem, chociaż szczegóły mu umknęły, ponieważ słowa wypowiedziane przez wodza były w dialekcie jego plemienia, a zatem niezrozumiałe dla mnicha; niemniej jednak poczuł pewną radość, uznając, że ci ludzie, uważanych przez niego za barbarzyńców, nie byli całkowicie pozbawieni dobrych uczuć i przekonań religijnych.

W obozie na nowo rozpalono dogasające ogniska, by przygotować poranny posiłek, podczas gdy zwiadowcy wyruszyli we wszystkich kierunkach, by upewnić się, że droga jest wolna i nie ma żadnych wrogów.

Mnich, teraz całkowicie uspokojony i zaczynający przyzwyczajać się do swojej nowej pozycji, zjadł oferowane mu jedzenie z dobrym apetytem i nie sprzeciwiał się wskoczeniu na wyznaczonego dla niego konia, gdy wódz, gdy tylko posiłek się skończył, dał sygnał do odjazdu.

Fray Antonio zaczynał myśleć, że dzicy, których mu przedstawiono w tak ponurych barwach, nie byli tak źli, jak o nich mówiono, że mieli w sobie wiele dobra i nie był daleki od przypuszczenia, że zostali w jego oczach oczernieni.

W rzeczy samej, ich gościnny sposób bycia ani przez chwilę go nie zawiódł, a wręcz przeciwnie, zdawali się dokładać wszelkich starań, by być dla niego niezwykle mili.

Jechali przez kilka godzin ścieżkami wytyczonymi przez dzikie zwierzęta, zmuszeni przez wąskość dróg do posuwania się gęsiego, to znaczy jeden za drugim. Jedynie mnich zauważył, że wódz zawsze trzyma się obok niego, ale biorąc pod uwagę rozmowę, którą odbyli razem rano, w najmniejszym stopniu go to nie zmartwiło.

Nieco przed południem grupa zatrzymała się nad brzegiem niewielkiej rzeki, o brzegach ocienionych przez wysokie drzewa, aby przeczekać największy żar dnia. Pucółowaty i otyły mnich zupełnie nie był zirytowany tym postojem pozwalającym mu trochę odpocząć, kiedy rozłożył się w cieniu. Podczas postoju Niebieski Lis nie odezwał się do niego, a mnich ze swej strony nie zrobił nic, by rozpocząć rozmowę, znacznie bardziej woląc sjęstę niż pogawędkę z wodzem.

Okolo czwartej wieczorem wojownicy wsiedli na konie i ponownie wyruszyli, ale tym razem zamiast jechać stępą, galopowali. Nawiasem mówiąc, Indianie znają tylko te dwa sposoby jazdy. Kłus uważają za absurd, a my przyznajemy, że w pewnym stopniu podzielimy ich opinię. Jazda była długa; słońce zaszło już od co najmniej dwóch godzin, a Apacze wciąż galopowali. W końcu, na znak wodza, zatrzymano się. Niebieski Lis podszedł do mnicha i odciągnął go nieco na bok.

– Tutaj się rozdzielimy – powiedział. – Nie byłoby rozsądne, gdyby Apacze szli dalej. Mój ojciec pojedzie sam.

– Ja? – powiedział zaskoczony mnich. – Chyba żartujesz, wodzu, wołałbym zostać z tobą.

– To niemożliwe – odparł stanowczo Indianin.

– Dokąd, u licha, mam iść o tej porze i w ciemnościach?

– Niech mój ojciec spojrzy – powiedział wódz, wyciągając rękę w kierunku południowo-zachodnim. – Czy widzi on tę czerwonawą poświatę, która ledwo unosi się nad horyzontem?

Fray Antonio popatrzył uważnie we wskazanym kierunku.

– Tak, widzę ją – powiedział po chwili.

– Bardzo dobrze. Ten blask jest wytwarzany przez płomień ogniska obozu błądzących twarzy.

– Ach!

– Wystarczy, że mój ojciec puści konia, a on go poprowadzi. W tym obozie jest Zabójca Jaguarów.

– Jesteś pewny?

– Tak; niech mój ojciec posłucha: blade twarze dobrze przyjmą mojego ojca.

– Rozumiem; powiem więc Tranquille’owi, że jego przyjaciel Niebieski Lis chce z nim rozmawiać, powiem mu, gdzie jesteś, i...

– Sroka to gadatliwy, bezmózgi ptak, skrzeczący jak stara baba – przerwał ostro wódz. – Mój ojciec nic nie powie.

– Ach! – wykrzyknął zaskoczony mnich.

– Mój ojciec musi uważać, by robić to, co mu każe, jeśli nie chce, by jego skalp usechł na włócznie wodza.

Fray Antonio wzdrygnął się na tę groźbę.

– Przysięgam ci, wodzu – powiedział.

– Człowiek nie przysięga – przerwał brutalnie Indianin – ale mówi „tak” lub „nie”. Kiedy mój ojciec będzie w obozie bladych twarzy, nie będzie mówił o Apaczach. Tylko wtedy, gdy biali myśliwi będą spali, mój ojciec wyjdzie z obozu i powiadomi Niebieskiego Lisa.

– Ale gdzie ja cię znajdę? – zapytał żałośnie mnich, w końcu rozumiejąc, że jego przeznaczeniem jest służyć jako szpieg dzikich w jednym z ich diabolicznych planów.

– Niech mój ojciec się o to nie martwi, sam go znajdę.

– Dobrze.

– Czy mój ojciec zrozumiał?

– Tak.

– Zrobi to, czego chce wódz?

– Zrobię to.

– Dobrze więc. Jeśli mój ojciec będzie wierny, Niebieski Lis da mu skórę bizona pełną złotego pyłu. Jeśli nie, niech nie myśli, że ucieknie przed wodzem: Apacze są przebiegli, skalp wodza modlitwy ozdobi włócznią sachema. Howgh.

– Mam natychmiast odejść?

– Tak.

– Nie masz dla mnie innych rozkazów?

– Nie.

– Zatem żegnaj.

– Mój ojciec chce powiedzieć: do widzenia – odparł drwiąco Apacz.

Fray Antonio nic nie odpowiedział, tylko westchnął głęboko i odjechał w kierunku ogniska. Im bardziej zbliżał się do obozu, tym trud-

niejsze wydawało mu się wykonanie złowrogiej misji zleconej mu przez wodza Apaczów. Dwa lub trzy razy przeszła mu przez głowę myśl o ucieczce, ale dokąd miałby pójść? Było prawdopodobne, że Indianie nie mieli do niego zaufania i skrycie, ale uważnie go obserwowali.

W końcu przerażonym oczom mnicha ukazał się obóz. Nie było już odwrotu, bo myśliwi bez wątpienia go zauważyli, a on zdecydował się podążać dalej, mrucząc z rozpacz:

– Boże dopomóż!



Rozdział III

W przepaści

Fowieściopisarz ma niezaprzeczalną przewagę nad historykiem, ponieważ nie jest zobowiązany do trzymania się ogólnych poglądów i dokumentów historycznych, a opiera się głównie na tradycji i rozkoszuje się szczegółami zmieszanymi z życiem prywatnym, gardzonymi przez zimną i drobiazgową historię, zmuszoną do rejestrowania tylko głównych wydarzeń, bez możliwości zejścia do często drobnych przyczyn, które nie tylko je przygotowały, ale także do nich doprowadziły.

Często po długiej podróży wędrowiec, zmęczony rozległymi horyzontami, nieustannie się przed nim rozwijającymi, oszołomiony rześkim powietrzem na wysokościach, na których stale przebywał, opuszcza wzrok na równiny, a jego spojrzenie spoczywa z nieokreślonym dobrym samopoczuciem na skromnych widokach początkowo przez niego gardzonymi. W ten sam sposób powieściopisarz zostaje przyciągnięty do znanych epizodów wielkiego poematu ludzkości i słucha naiwnych relacji starożytnych autorów o scenach wskazanych tylko przez historię, relacji uzupełniających jałową i surową narrację wielkich wojen i których historycy nie ośmielają się opowiadać.

Prawdą jest, że w tych relacjach prawie zawsze ujawnia się ignorancja i bardzo często uprzedzenie, ale jest w nich życie, bo jeśli narratorzy mówią nieścisłe o tym, co się zdarzyło, to przynajmniej mówią szczerze, co czuli, co słyszeli i co widzieli, a błędy, jakie czasami nieświadomie popełniają nie są kłamstwami, ale względnymi prawdami, które obowiązkiem powieściopisarza jest posegregować i umieścić na swoim miejscu.

Kilkakrotnie odwiedziliśmy wąską przełęcz, w której przygraniczni grabieżcy i Meksykanie stoczyli bitwę, o czym pisaliśmy w naszym poprzednim tomie. Przechyleni nad przepaścią, ze wzrokiem

utkwionym w ziejącą pod nami otchłan, słuchaliśmy relacji o dziwnych wydarzeniach tej walki gigantów i gdybyśmy nie byli tak pewni prawdomówności opowiadającego człowieka, nie tylko poddalibyśmy w wątpliwość, ale nawet całkowicie zaprzeczylibyśmy możliwości pewnych faktów, jednak rygorystycznie prawdziwych, o których musimy teraz poinformować Czytelnika.

Przygraniczni grabieżcy widzieli, wydając okrzyki przerażenia, dwóch mężczyzn splecionych jak dwa węże, staczających się razem w dół przepaści. Blask pożaru z braku paliwa już zaczynający przygasać po spustoszeniu grzbietów wzgórz, rzucał blade refleksy w odstępach czasu na tę scenę, nadając jej przejmujący wygląd.

Po pierwszej chwili zdumienia John Davis, z trudem panując nad targającymi nim emocjami, starał się przywrócić tym wszystkim oszołomionym tą straszliwą katastrofą ludziom, jeśli nie nadzieję, to przynajmniej odwagę. John Davis słusznie cieszył się wielką reputacją pośród grabieżców. Wszyscy wiedzieli o bliskiej przyjaźni, jaka łączyła Amerykanina z ich przywódcą. W kilku poważnych okolicznościach wykazał się chłodem i inteligencją, co przyniosło mu szacunek i poważanie tych ludzi, więc natychmiast odpowiedzieli na jego wezwanie, w milczeniu gromadząc się wokół niego, ponieważ instynktownie rozumieli, że wśród nich wszystkich tylko jeden człowiek był godny zastąpić Jaguara, a tym człowiekiem był Amerykanin z Północy.

John Davis domyślał się kierujących nim uczuć, ale nie dał tego po sobie poznać. Jego twarz była blada, a fizjonomia posępna. Obrzucił zamyślnym spojrzeniem tych wszystkich ludzi o energicznych rysach, opierających się na strzelbach, wpatrujących się w niego ze smutkiem i zdających się milcząco uznawać władzę, którą prawdopodobnie zamierzał sobie przekazać.

Ich oczekiwania zostały zawiedzione, przynajmniej tymczasowo. W tej chwili Davis nie miał zamiaru zostać wybranym na przywódcę rabusiów. Całkowicie absorbował go los jego nieszczęsnego przyjaciela, a wszystkie inne względy przed nim zniknęły.

– *Caballeros* – powiedział poważnym głosem – spotkało nas straszne nieszczęście. W takich okolicznościach musimy zebrać w sobie

całą naszą odwagę i całą naszą rezygnację, bo kobiety płaczą, a mężczyźni się mszczą. Śmierć Jaguara to nie tylko ogromna strata dla nas, ale także dla sprawy, której przysięgaliśmy bronić i której dał już tak wielki dowód oddania. Ale zanim będziemy opłakiwać przywódcę tak godnego pod każdym względem żalu, któremu będziemy musieli współczuć, musimy wypełnić obowiązek, bo jeśli go zaniedbamy, będzie dla nas później palącym wyrzutem sumienia.

– Mów! Mów, Johnie Davis, jesteśmy gotowi zrobić wszystko, co nam powiesz! – wykrzyknęli grabieżcy jednym głosem.

– Nie mogę uwierzyć, że tak wielka inteligencja i tak szlachetne serce naszego ukochanego wodza zostały zgazowane w ten sposób. Jestem przekonany, że Bóg nie będzie chciał zniweczyć nadziei sprawy, o którą walczyliśmy tak długo z takim oddaniem i poświęceniem; Bóg uczyni cud na korzyść naszego przywódcy i zobaczymy, jak wraca do nas cały i zdrowy! Ale cokolwiek się stanie, jeśli ta ostatnia nadzieja zostanie nam odebrana, przynajmniej nie porzucimy go tchórzliwie, bez próby ratowania, człowieka, który dwadzieścia razy odważył się umrzeć za każdego z nas. Co do mnie, przysięgam na najświętszą rzecz na świecie, że nie opuszczę tego miejsca bez uprzedniego upewnienia się, czy Jaguar naprawdę jest martwy, czy też nadal żyje.

Na te słowa przez szeregi zgromadzonych przebiegł dreszcz zgody.

John Davis kontynuował:

– Kto wie – powiedział – czy nasz nieszczęsny przywódca nie leży połamany, ale wciąż oddycha, na dnie tej przeklętej otchłani i czy nie robi nam wyrzutów za nasze tchórzliwe porzucenie!

Przygraniczni grasanci krzyczeli, protestując najbardziej energicznymi przysięgami, że chcą znaleźć swojego przywódcę żywego lub martwego.

– Dobrze, moi przyjaciele! – wykrzyknął Amerykanin. – Jeśli niestety nie żyje, to cóż, zwrócimy jego ciało ziemi i ocalimy jego szczątki, będące tak dla nas drogimi z wielu powodów przed zniewagami dzikich zwierząt, ale powtarzam, jedno z tych przeczuć, nigdy mnie nie zwodzących, ponieważ pochodzą od Boga, jasno mówi mi, że on wciąż żyje.

– Niebiosa cię wysłuchają, Johnie Davis i oddadzą nam naszego przywódcę! – zawołali grabieżcy.

– Zejdę do przepaści – powiedział Amerykanin – zbadam jej najskrytsze zakamarki i przed wschodem słońca dowiemy się, czego musimy się obawiać, a na co mieć nadzieję.

Propozycja Johna Davisa została przyjęta tak, jak powinna, to znaczy okrzykami entuzjazmu.

Gdy emocje obecnych nieco opadły, Amerykanin rozpoczął przygotowania do realizacji swojego planu.

– Pozwól mi uczynić pewną uwagę – rzekł stary goniec leśny.

– Mów, Ruperto, o co chodzi? – odrzekł Davis.

– Od dawna znam to miejsce gdzie się obecnie znajdujemy, często polowałem tu na jelenie i antylopy.

– Do rzeczy, przyjacielu, do rzeczy.

– Chodzi o to, Johnie Davis, że możesz zrobić, co ci się podoba z informacjami, które ci zaraz przekażę. Skręcając w prawo po przejściu około trzech mil, obejdziesz wzgórze, a to, co stąd wydaje się przepaścią, jest tylko równiną, co prawda trochę zagłębioną, ale łatwą do pokonania konno.

– Ach! – rzekł zamyślony Davis. – I jaki z tego wniosek, Ruperto?

– Z całym szacunkiem taki, że może lepiej byłoby wsiąść na konia i objechać wzgórze.

– Tak, tak, to dobry pomysł, skorzystamy z niego. Ruperto, weź ze sobą dwudziestu ludzi, wsiądźcie na konie i pospiesznie przejedźcie na równinę, o której mówisz, gdyż nie możemy odrzucić żadnej szansy. Reszta oddziału pozostanie tutaj, aby obserwować okolicę, podczas gdy ja zejdę w dół *barrancy*.

– Więc trzymasz się swojego pomysłu?

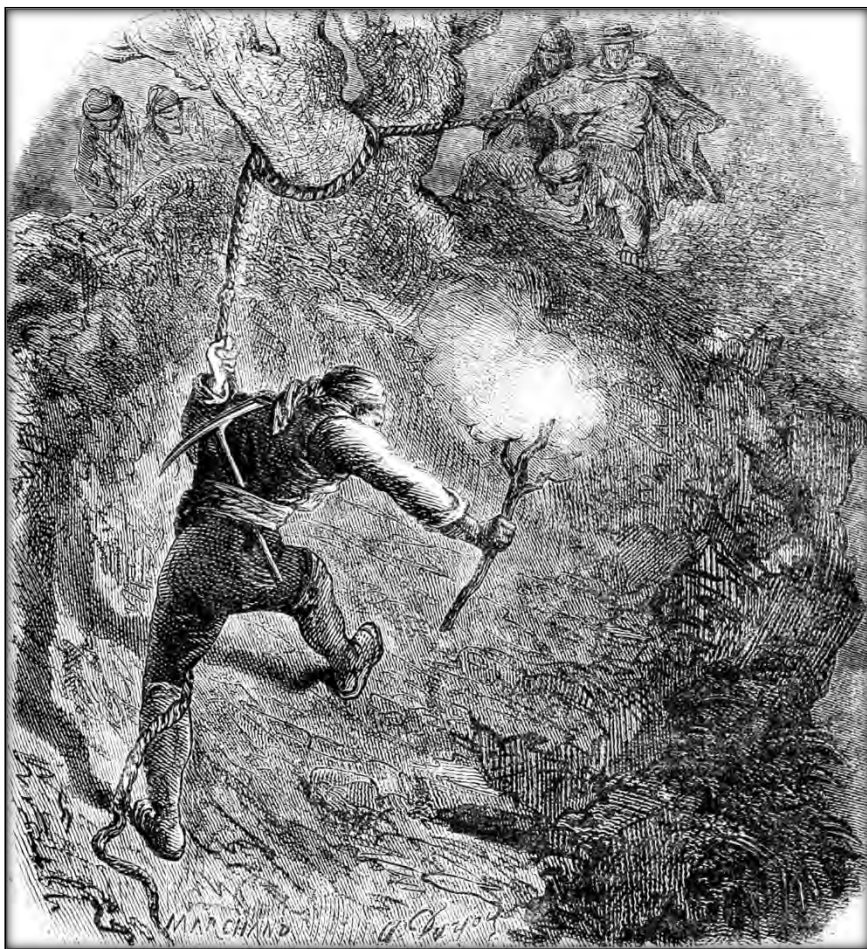
– Bardziej niż kiedykolwiek.

– Jak ci się podoba, Johnie Davis, jak ci się podoba, choć w tak ciemną noc ryzykujesz połamanie kości.

– Jak Bóg zechce! Mam nadzieję, że mnie ochroni.

– Mam też mam nadzieję, ale już odjeżdżam; powodzenia!

– Dziękuję i wzajemnie.



Po klęknieniu na krawędzi przepaści, zaczął powoli do niej schodzić.

Stary Ruperto wyruszył w drogę, a za nim podążyło dwudziestu grasantów, spontanicznie oferujących, że będą mu towarzyszyć, i wkrótce zniknęli w ciemności.

Zejsście, którego miał się podjąć John Davis, nie należało do najłatwiejszych. Amerykanin był zbyt doświadczonym gońcem leśnym, by o tym nie wiedzieć, więc w konsekwencji podjął wszelkie środki ostrożności.

Za pasem, obok noża, umieścił dużą, mocną siekierę, a wokół talii obwiązał się *reatą*¹, a grabieżcy przymocowali do niej kilka innych, aby ją wydłużyć, a jej koniec chwyciło trzech mężczyzn, mocno zapartych w ziemi, którzy najpierw okręcili ją wokół pnia drzewa, aby móc ją płynnie popuszczać, zgodnie z życzeniem Amerykanina. Jako ostatni środek ostrożności zapalił gałąź drzewa *ocote*², aby mogła prowadzić go podczas niebezpiecznego zejścia, ponieważ niebo było bez gwiazd, przez co ciemność była tak wielka, że nie można było dostrzec niczego na dwa kroki. Swoje ostatnie działania wykonał z tą zimną krwią wyróżniającą ludzi jego rasy. Amerykanin z Północy ścisnął wyciągnięte ku niemu dłonie, spróbował jeszcze raz kilkoma ciepłymi słowami przywrócić nadzieję swoim towarzyszom i po klęknieniu na krawędzi przepaści, zaczął powoli do niej schodzić. Trudno sobie wyobrazić, jak miejsca, a nawet najmniejsze przedmioty zmieniają swój wygląd w zależności od padającego na nie światła: krajobraz, który w świetle słonecznym ma roześmiany i spokojny wygląd, oświetlony czerwonym światłem pochodni nabiera fantastycznego i tajemniczego wyglądu budzącego strach i respekt u najbardziej zdecydowanego człowieka. Trzeba przyznać, że John Davis był człowiekiem o wypróbowanej odwadze, a jego życie było ciągłą walką, w której triumfował tylko dzięki czystej sile woli i energii, jednak kiedy zaczął schodzić do *barrancy*, poczuł chłód w sercu i nie mógł stłumić lekkiego dreszczu przerażenia, jak iskra elektryczna przebiegającego przez wszystkie jego członki, ale zwalczył tę emocję, nie będącej niczym innym jak instynktem samozachowawczym, który Bóg ukrył głęboko w sercach wszystkich

¹ *Reata* (hiszp.) – lina, sznur, lasso.

² *Ocote* – popularna nazwa różnych gatunków sosny.

ludzi, zarówno najodważniejszych, jak i najbardziej tchórzliwych, i kontynuował schodzenie.

Chociaż, jak powiedzieliśmy, był przywiązany za środek ciała, nie było łatwo schodzić po stromej, prawie pionowej pochyłości, do której trzeba było przylgnąć jak gad do każdego napotkanego źdźbła trawy lub krzaka, pod groźbą porwania przez gwiżdżący wściekle wiatr, bycia rzuconym w przestrzeń i roztrzaskanym jak łupina orzecha o ściany otchłani.

Pierwsze kilka minut było szczególnie straszne dla odważnego awanturnika. Stopy i dłonie musiały przyzwyczać się do ciężkiej pracy, jaką im narzucono, i dopiero stopniowo udawało im się instynktownie znaleźć punkty podparcia. To spostrzeżenie mogące wydawać się błędne niektórym ludziom, na szczęście dla nich nigdy nie będących zmuszonymi tego doświadczyć, zostanie uznane za rygorystycznie słuszne przez wszystkich ludzi, którzy podróżowali i byli zmuszeni wspinać się lub schodzić z gór. Po kilku minutach, gdy umysł pozostaje wolny, ciało przybiera niezbędną równowagę, stopy znajdują solidne punkty podparcia, a dłonie bez wahania kładą się na trawie lub korzeniach zapewniających im niezbędny stopień oporu.

Po zejściu około dziesięciu stóp John Davis znalazł się na dość dużej półce porośniętej gęstymi krzakami; do tego momentu schodzenie było niezwykle szybkie.

Oświetlając wokół pochodnią, Amerykanin rozejrzał się na wszystkie strony po tej swego rodzaju esplanadzie mającej około kilkunastu stóp obwodu. Po dokładnym zbadaniu rosnących na niej gęstych krzewów, awanturnik zauważył, że ich wierzchołki były pogniecione i poflamane, jakby otrzymały potężne uderzenie.

John Davis zaczął je badać. Wkrótce doszedł do wniosku, że ta ogromna luka mogła powstać tylko w wyniku upadku dwóch ciał. Ta uwaga dała mu dobrą nadzieję: w tak niewielkiej odległości od brzegu przepaści dwaj wrogowie wyrzuceni w przestrzeń musieli być jeszcze pełni życia. Prędkość ich upadku została naturalnie zatrzymana przez uderzenie w krzaki. Mogli co pewien czas napotkać podobne przeszkody i w konsekwencji wykonać tylko serię niezbyt niebezpiecznych upadków. Ta hipoteza, być może błędna, mogła być jednak prawdziwa.

John Davis kontynuował schodzenie. Zbocze z każdą chwilą stawało się mniej strome. Awanturnik nie napotykał już na swojej drodze krzaków, ale drzewa zgrupowane tu i ówdzie w skupiskach po pięć lub sześć.

Tymczasem jednak nie znalazł więcej śladów, więc ogarnął go strach, boleśnie ściskając mu serce. Obawiał się, że krzaki, na które spadli dwaj mężczyźni, ze względu na swoją elastyczność, wywołały efekt rakiety i wyrzuciły dwóch nieszczęśników w przestrzeń, zamiast pozwalać im podążać po zboczu przepaści.

Ta myśl zawładnęła umysłem Amerykanina tak mocno, że ogarnęło go głębokie przygnębienie i przez kilka chwil stał bez sił i woli, ze smutkiem przykucnąwszy na ziemi.

John Davis był jednak człowiekiem o zbyt silnym charakterze i zbyt energicznej woli, by pozwolić sobie na długie pograżanie się w rozpaczy. Wkrótce podniósł głowę i popatrzał śmiało dookoła siebie.

– Naprzód! – powiedział stanowczym głosem.

Jednak w momencie, gdy przygotowywał się do kontynuowania zejścia, nagle wykonał gest zaskoczenia i wykrzyknął, rzucając się w stronę czarnej masy, której do tej pory poświęcał mierną uwagę.

Po raz kolejny prosimy Czytelnika o wybaczenie za nieprawdopodobieństwo szczegółów pojawiających się po kolei, ale powtarzamy, że nie wyjaśniamy, a jedynie opowiadamy, ograniczając się do bycia prawdziwym, bez roszczenia sobie prawa do omawiania większej lub mniejszej możliwości faktów, jakkolwiek mogącymi się wydawać niezwykłymi, jednak będącymi prawdziwymi.

Bielik¹, najpotężniejszy i najbardziej uzdolniony z ptaków, zwykle buduje swoje gniazdo na zboczach przepaści, na szczytach niezmiernie wysokich drzew, do znacznej wysokości pozbawionych gałęzi; nigdy nie można go znaleźć na skałach. To silnie zbudowane gniazdo składa się z patyków o długości od trzech do pięciu stóp, splecionych i wyścielanych hiszpańską brodą, rodzajem skrytopłciowej rośliny z rodziny porostów,

¹ *Bielik* amerykański (*Haliaeetus leucocephalus*) – gatunek drapieżnego ptaka z rodziny jastrzębiowatych (*Accipitridae*), występujący w Ameryce Północnej; jako symbol narodowy Stanów Zjednoczonych jest najbardziej rozpoznawalnym północnoamerykańskim ptakiem; jest spotykany nad otwartą wodą w pobliżu dużych zbiorników wodnych (np. jezior) lub nad oceanem; gniazda zakłada na starych drzewach.

dziką trawą i dużymi płatami darni. Kiedy gniazdo jest ukończone, zwykle mierzy od sześciu do siedmiu stóp średnicy, a czasami nagromadzenie materiałów jest tak znaczne, ponieważ to samo gniazdo jest często zajmowane przez długi szereg lat i w każdym sezonie się powiększa, że jego głębokość jest równa jego średnicy. Ponieważ gniazdo bielika jest bardzo ciężkie, zwykle umieszczane jest w środku rozwidlenia utworzonego przez przypadkowe połączenie się kilku dużych gałęzi.

Z pomocą swojej pochodni John Davis właśnie odkrył, kilka metrów dalej i prawie na tym samym poziomie, na którym stał, gniazdo bielika, zbudowane na szczycie ogromnego drzewa o pniu zanurzającym się na znaczną głębokość w przepaści.

W poprzek gniazda leżały dwa ludzkie ciała. Amerykanin potrzebował tylko jednego spojrzenia, by upewnić się, że były to ciała Jaguara i meksykańskiego kapitana. Obaj pozostawali w całkowitym bezruchu i wciąż się nawzajem obejmowali.

Dotarcie do gniazda znajdującego się około dziesięciu metrów od ściany klifu nie było łatwym zadaniem, ale John Davis nie wahał się. Teraz, gdy znalazł ciało swojego przywódcy, chciał wiedzieć, za wszelką cenę, czy jest żywy, czy martwy. Ale jakiego sposobu użyć, by uzyskać pewność? Jak dotrzeć do drzewa kołyszącego się ze złowieszczym skrzypieniem przy każdym podmuchu wiatru? Po wielu przemyśleniach Amerykanin zdał sobie sprawę, że nigdy nie będzie w stanie wspiąć się na drzewo sam, więc ułożył przy ustach dłoń w kształcie lejka i wydał okrzyk uzgodniony ze swoimi towarzyszami. Wówczas ci przyciągnęli *reatę* z powrotem do siebie i po pół godzinie niesamowitego wysiłku Davis znalazł się z powrotem razem z towarzyszami.

Rozbójnicy z pogranicza stłoczyli się wokół niego, by wypytać go o szczegóły wyprawy. John pośpiesznie podał im je, co zostało przyjęte okrzykami radości przez wszystkich zgromadzonych.

Wtedy wydarzyło się coś, co pokazuje, jak wielkim uczuciem wszyscy ci ludzie darzyli swojego przywódcę. Nie mówiąc nic do siebie, nie konsultując się ze sobą, każdy uzbroił się w pochodnię i wszyscy, jakby posłuszni jednemu i temu samemu impulsowi, zaczęli schodzić w otchłań.

Dzięki wielu pochodniom rzucającym wystarczającą ilość światła, a przede wszystkim dzięki umiejętnościom tych ludzi, przyzwyczajonych od dzieciństwa do biegania po lesie i zabawowego wspinania się po skałach i przepaściach, zejście to odbyło się bez dalszych nieszczeńć, nad którymi należałoby ubolewać, i wkrótce cała grupa spotkała się ponownie w miejscu, w którym Amerykanin jako pierwszy odkrył gniazdo orla bielika.

Wszystko było tak, jak zostawił to John Davis. Dwa ciała wciąż były nieruchome i splecione razem. Czy ci ludzie byli martwi? Czy może nieprzytomni? Takie pytania z niepokojem zadawali sobie wszyscy obecni, a nikt nie potrafił na nie odpowiedzieć. Nagle dał się słyszeć głośny hałas, a dno przepaści rozświetliło kilka pochodni. To przybył oddział Ruperta. Kierując się światłem przesuwającym się po bokach przepaści, wkrótce odkryli gniazdo i prawda została im ujawniona.

Przybycie Ruperta i jego towarzyszy było promieniem światła dla Amerykanina, i teraz nic nie było łatwiejszego niż dotarcie do gniazda.

Czterech silnych awanturników, uzbrojonych w siekiery, wspięło się po ścianie przepaści do podnóża drzewa, które zaczęli nacinać przyspieszonymi zdwojonymi ciosami, podczas gdy John Davis i jego towarzysze zarzucili swoje *reaty* na wysokie gałęzie drzewa i stopniowo przyciągali je do siebie.

Drzewo, głęboko podcięte od dołu, powoli zaczęło się przechylać i w końcu, bez większych wstrząsów, spoczęło na ścianie przepaści.

John Davis natychmiast wspiał się do gniazda, wyciągnął zza pasa nóż, pochylił się nad ciałem Jaguara i przyłożył ostrze do ust młodzieńca.

Przez chwilę wszyscy byli głęboko zaniepokojeni. Ich milczenie było tak kompletne, że można było usłyszeć bicie ich serc. Stali tam z oczami uparcie wpatrzonymi w Amerykanina, ledwo śmiejąc oddychać i niejako wisząc na jego ustach.

W końcu John wyprostował się i podniósł nóż do światła pochodni – ostrze było lekko zmatowiałe.

– On żyje, bracia! On żyje! – zawołał.

Na tę wieść przygraniczni rozbójnicy wydali z siebie taki ryk radości i szczęścia, że nocne ptaki, zaniepokojone w swoich ciemnych

legowiskach, wzbily się wszędzie w powietrze i zaczęły latać ciężko tu i tam, wydając nieskoordynowane i ogłuszające okrzyki.

Ale to nie było wszystko. Jaguar musiał teraz zostać wyniesiony z przepaści i wciągnięty na przełęcz.

Powiedzieliśmy, że oba ciała były ciasno splecione.

Awanturnicy nie odczuwali wielkiej sympatii do kapitana Melendeza, sprawcy katastrofy, która prawie zabiła Jaguara, więc nie zadali sobie trudu, aby ustalić, czy jest on żywy, czy martwy, a kiedy przyszło do znalezienia środków transportu ciała ich przywódcy do przełęcz, wybuchła bardzo poważna i burzliwa dyskusja na temat meksykańskiego oficera.

Większość poszukiwaczy przygód była zdania, że jeśli nie da się łatwo rozdzielić obu ciał, należy odciąć kapitanowi ręce i wrzucić go do przepaści, aby nakarmić nim dzikie zwierzęta.

Najbardziej poirytowani mówili o wcześniejszym zadźganiu go, aby upewnić się, że nie ucieknie. Niektórzy chwycili nawet za noże i maczety, aby bezzwłocznie wykonać to postanowienie.

Nagle jednak do akcji wkroczył John Davis.

– Przestańcie! – krzyknął. – Jaguar żyje, wciąż jest waszym wódcem, zostawcie mu wolną rękę, by pozbył się tego człowieka tak, jak mu się spodoba. Kto wie, czy życie tego oficera nie będzie dla nas później bardziej opłacalne niż jego śmierć.

Awanturnicy nie dali się łatwo przekonać do oszczędzenia kapitana. Zamierzali go zasztyletować po odcięciu mu rąk, ale dzięki wpływom, jakimi cieszył się w oddziale, John Davis w końcu zdołał przemówić im do rozsądku, a jedyne, co pozostało do zrobienia, to znaleźć sposób na przeniesienie ciał na górę przełęcz.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!